

GEORGI DANAELOW

# DOM

NA SKRAJU ŚWIATA

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

DIALOG



GEORGI DANAŁOW

# DOM

NA SKRAJU ŚWIATA

przekład  
Magdalena Lubańska

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie

DIALOG 

Tytuł oryginału

Kyszta otwyd sweta

© Copyright by Georgi Danaïłow 2003

© Copyright for the Polish translation

by Magdalena Lubańska 2005

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo Akademickie DIALOG 2005

Redakcja i korekta

Łada Jurasz-Dudzik

Skład, łamanie i projekt okładki

Ewa Cmielak

Redaktor prowadzący

Magdalena Pluta

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

ISBN (ePub) 978-83-8002-340-6

ISBN (Mobi) 978-83-8002-341-3

Wydanie elektroniczne, Warszawa 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

# Spis treści

- Wielkie przesiedlenie
- Nadchodzi Murat
- Muzułmanie
- Jozka
- Żegnaj, dziadku Kiro
- Legendy
- Domy
- Pożar
- Pies Barry
- Nie ludzie, ale bestie
- Upadek Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
- Blisko końca
- Przypisy

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

*I patrzymy z górą długo na siebie,  
a między nami żadnego znudzenia.*

*Li Bo, VIII wiek*

**K**siążka ta opowiada o pewnej słynnej ucieczce. Opisana w niej przygoda wydarzyła się naprawdę, a jej wspomnienie jest wciąż żywe. To prawda, że porażkę się przeczuwa, że można ją od początku przewidzieć, jednak wcale nie ma ona okrutnego oblicza i z tego właśnie względu należy ją przyjąć z uśmiechem. Początek wszystkiego sięga oczywiście dzieciństwa. Nie wiem, czy zrobił kiedyś na mnie wrażenie rysunek, przedstawiający zimową zorzę polarną w cieniu nadchodzącej nocy i samotne, świecące okno, czy też najzwyczajniejsza Wydawnictwo Złotych (c) Copyright wersja elektroniczna świąteczna kartka – śnieg, lasy, zatłoczone schronisko – naiwna, słodka kartka, która zapewne wywołałaby oburzenie dzisiejszych rozbestwionych artystów. Nie wiem, nie pamiętam, wiem tylko, że zostało we mnie to wspomnienie z tamtych lat. Widok ten przetrwał w mojej duszy i zawsze, kiedy zobaczę w górach podobny pejzaż, przebiega mnie dreszcz i słyszę jakieś łagodne wezwanie. Wezwanie to wraz z upływem lat staje się coraz bardziej smutne i ciche. Zawsze do tego tęskniłem. Światło samotnego, nocnego okna w zaśnieżonym lesie i ogień w palenisku. Coś tak zwyczajnego, osiągalnego, a zarazem coś, co wymyka się i ulatnia pod wpływem spojrzenia. Musiałem jednak w końcu podjąć wyzwanie.

- Chcę kupić dom w Rodopach.
- My też – powiedzieli nasi przyjaciele.
- Ale ja na serio chcę kupić dom w Rodopach.

– My też...

Matematyk zapytał rzeczowo:

– No to kiedy jedziemy? Wiem, gdzie można kupić domy.

– Może w sobotę!

– Świetnie. Jesteśmy umówieni – oznajmił.

I tak zaczął się sen. W sobotę wczesnie, nawet bardzo wczesnie, matematyk Włado, mój syn i ja wyruszyliśmy w drogę małym, starym samochodem marki renault. Jechaliśmy szybko – aż, nie wiedzieć kiedy, dotarliśmy do miasteczka u podnóża gór. Z pośpiechu nie zjedliśmy nawet śniadania, dlatego postanowiliśmy się gdzieś zatrzymać. Wstąpiliśmy do otwartego przydrożnego lokalu, pełnego ludzi. Siedzieli wokół stołów, szarzy i posępni, pijąc miętówkę. Była ósma rano! Matematyk był mile zaskoczony tą sceną, ale ja znałem go zbyt dobrze, żeby zgodzić się na postój.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Żadnej miętówki! Czeka nas podróż i zakup domów. Wśród jodeł, świerków i sosen czekają na nas rodopskie domy. Czekają na nas dobroduszni sprzedawcy, siedzący na progach i nawołujący: Stare domy sprzedajemy, solidne domy sprzedajemy!

Bzdury! Okazało się, że w tych stronach od dawna nie ma domów na sprzedaż, ani starych, ani nowych, a nawet jeśli znalazł się jakiś, właściciele chcieli za niego bardzo dużo pieniędzy. Nastrój się popsuł. Przenocowaliśmy w Czepelare i wieczorem próbowaliśmy poprawić sobie humory czerwonym winem.

– No i gdzie te domy? – zapytałem gniewnie.

– Wykupili je. Zanim my się zdecydujemy...

Następnego ranka, kiedy w posępnych nastrojach kierowaliśmy się do samochodu, nie wiedząc nawet, którądy

mamy jechać, los wziął sprawy w swoje ręce. A to wszystko za sprawą pewnego dawnego znajomego – artysty.

– Dokąd idziecie?

– Tu i ówdzie.

– Poważnie?

– No tak.

– Właściwie – powiedział – skoro dotarliście aż tutaj w poszukiwaniu domów, znaczy odległość od Sofii nie ma dla was znaczenia.

– W ogóle!

– W takim razie muszę wam powiedzieć, że po drugiej stronie góry, na zachód stąd, jest pewna wieś – jak z bajki, z domami, i to kilkupiętrowymi, i wszystkie są do sprzedania.

– Jak to?

– Ano tak! Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Po kilku minutach samochód furczał po asfalcie, opony grały, a my byliśmy tak podekscytowani, wręcz szczęśliwi, że w ogóle nie zwróciliśmy uwagi na czarne obłoki, na grzmoty, na burzę i na deszcz, który lunął nagle i sprawił, że nasz mały samochód niemal utonął w wirach i wodospadach. Z kałuż powstawały jeziora. Spod samochodu buchały gejzery. Na końcu drogi z brzegów wystąpiła rzeka, wycieraczki nie mogły nadążyć za deszczem. Prowadziliśmy, wytyczając wzrok. Mieliśmy nadzieję, że jesteśmy jedynymi szaleńcami na drodze. Wreszcie deszcz nagle przestał padać, obłoki się rozproszyły, niebo stało się błękitne, a wysoko przed nami ukazały się szczyty Pirynu. Panie, o Panie, jakiego trunku skosztowałeś, kiedy tworzyłeś tę krainę! Jeżeli chodzi o napoje, matematyk miał gotową odpowiedź. Ale nie zdążył się wypowiedzieć, bo

dogoniliśmy cały sznur samochodów, ciężarówek, autobusów, desperacko stojących na drodze. Przed nami był zator. Zrobią coś z tym? Zrobią, dlaczego mieliby nie zrobić?! Do wieczora się uporają. Do wieczora? Najwcześniej. Teraz zadzwonili po buldożery, ale buldożery podobno wysłano gdzie indziej, żeby tu dotarły, trzeba je z kolei załadować na przyczepę. Przyczepę mają żołnierze, ale nie wiadomo, gdzie przy niedzieli podziewa się komandor oddziału. W końcu oficer też człowiek...

Mieliśmy niedzielę, a następnego dnia poniedziałek. Jutro ja i Włado musimy iść do pracy, a mój syn do szkoły, więc wszystko przepadło na naszych oczach. Świecące w lesie okienko nagle zagasło. Nie pamiętam, jak minął tydzień. Pozostało tylko wspomnienie czekania. Mój szef lubił mawiać: „Danałow, życie jest czekaniem, życie jest czekaniem”. Oczywiście Danałow mawiał tak, kiedy nie przychodził na umówioną godzinę. W końcu nadszedł piątek. Okazało się, że Włado był w tych dniach zajęty, jednak całkiem poważnie polecił nam oglądać, co tam sobie chcemy, ale tak, żeby wybrać dom i dla niego.

– Nigdzie beze mnie nie pojedziecie – postanowiła moja żona. – Kto wie, jaki dom kupicie!

Właściwie oznaczało to, że zaakceptowała nasz nieco szalony pomysł. A jednomyślność to prawdziwe błogosławieństwo dla rodziny.

Droga prowadząca do tajemniczej wioski zaczynała się w dolinie Mesty, dalej wiła się, zakręcała, nieoczekiwanie wybrzuszała i zapadała, a miejscami w ogóle kończyła gdzieś wśród kamieni tylko po to, żeby znów niespodziewanie się pojawić. Za zakrętem wyłoniła się przed nami duża wieś z białym meczetem i domami wzniesionymi



z kamienia. Domy wyglądały jak wyciosane sześciany, niepomalowane, solidne i z grubymi ścianami. We wsi wszędzie roilo się od dzieciaków, niektóre podbiegały do samochodu, krzyczały i celowały do nas z proc kamykami. Nagle żona westchnęła z podziwem. Na białym koniu zbliżała się do nas dziewczyna w bogatym stroju, w białej chuście zawiązanej wokół głowy, w szarawarach i białych skarpetach w niesamowite wzory. Jej ubranie i fartuch przyciągały wzrok jaskrawymi barwami i urodą! Ona sama siedziała na koniu po kobiecemu, w tak dumnej i dostojnej pozie, że wyglądała niczym zjawą – tym bardziej że całe to piękno poruszało się dostojnie po kałużach błota, krowich plackach i wśród stada podążających naprzód tłustawych potwornych kóz.

– Widziałeś ją? – zapytała z zachwytem moja żona.

– Widziałem Wydawnictwo Plisko. Copyright © 2014. Cała elektronika odparłem. Oglądałem się właśnie za tą pięknoscią, kiedy samochód wpadł w taką dziurę, że wszyscy uderzyliśmy głowami o dach. Och, gdybyśmy wiedzieli, co nas czeka, gdybyśmy wiedzieli, że było to tylko niewinne ostrzeżenie, może byśmy nigdy nie dotarli do celu i nie miałbym dziś nic do opowiadania! Mówiąc wprost, za wsią droga się kończyła. Tylko szeroka, kamienista ścieżka pięła się wysoko, w góry. Z lewej strony ścieżki była przepaść, w której głębinach lśniła wąska srebrna rzeka, a z drugiej – strome zbocza.

– Przepraszam bardzo, czy jeżdżą tędy samochody?

– Ano jeżdżą. Jeżdżą samochody gospodarzy.

– A czy uda się nam przejechać?

Nie uzyskaliśmy jasnej odpowiedzi na postawione pytanie. Zmieniłem bieg i ruszyliśmy. Miejscami w drodze wyłobione były głębokie koleiny. Samochód był za mały

i za niski, żeby przez nie jechać. Kiedy wjechałem w nie lewą stroną, prawe koła zapadały się, a podwozie samochodu ocierało się o podłoże. Kiedy próbowałem odwrotnie, działało się to samo. Po bokach kolein też nie było dostatecznie dużo miejsca. W rezultacie musieliśmy się poruszać przechyleni raz na prawą, raz na lewą stronę. Czasami to było możliwe, czasami nie. Zapadaliśmy się, grzęźliśmy w błocie, a kiedy jakiś wraży kamień pojawiał się nagle przed nami, podłoga samochodu wyginała się ze zgrzytem pod naszymi nogami i żałośnie skrzypiała, popłakując. Dobre samochody mają dusze. Jeszcze trochę, jeszcze trochę, no malutki! Uważałem, żeby nie zahaczyć rury wydechowej, bo to był nasz słaby punkt. Lubiała nas zaskakiwać. W najmniej oczekiwanych momentach odpadała i zaczynała się wlec po drodze, przy akompaniamencie nieznośnego stukotu i trząsków. Tam, gdzie droga była sucha, przemieszczaliśmy się jakoś, ale w dolinkach czekały już na nas muliste kałuże, istny bełt ze śliskiego błota, zalewały nas żółtobrazowe strumienie, koła grzęzły, ślizgały się, buksowały w miejscu, rzucało tyłem samochodu. Wiedziałem, że jak, nie daj Boże, ugrzęźniemy w błocie, już nie ruszymy. Dodawałem gazu i z impetem wjeżdżałem na trzęsawiska. Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy przejeżdżaliśmy przez kamienie, podnosiłem się z siedzenia, jakbym chciał ułatwić samochodowi przejechanie przeszkody. I oto zobaczyłem przed sobą to miejsce – pułapkę, przez którą nie mogliśmy przejechać. Ktoś rozkopał drogę, odskakiwały kamienie, błoto, kałuże, jamy, a jakby tego było mało, jeszcze jakieś pnie ze ściętych drzew toczyły się przed nami. Poczułem, jak koła zaczynają buksować bez impetu w jednym miejscu, samochód stopniowo zatrzymuje

się i grzęźnie w błocie. I to był koniec! Wtedy niespodzianie poczułem, że ruszamy. Spojrzałem w lusterko i zobaczyłem młodych mężczyzn pchających samochód. Nie wiedziałem, czy wysłał ich Bóg czy Allah!

– Jeżeli udało wam się tędy przejechać, to jesteście na miejscu!

Śmiali się. Cali byli opryskani błotem, rzucającym przez koła. Wyglądało na to, że nie przywiązują do tego wagi.

– Czy jest jakaś nadzieja, że zrobią tu drogę?

– Zrobią, zrobią, dlaczego mieliby nie zrobić, muszą ją zrobić do jesieni. Zresztą tam na górze droga jest już dobra. Tylko tutaj taka.

To dodawało otuchy. Ludzie ci robili drogę. Przerwali właśnie pracę, żeby odpocząć, kiedy zobaczyli, jak toniemy w błocie.

– A wy skąd się tutaj wzięliście?

– Z Sofii.

– Z Sofii! I aż tutaj na przejażdżkę was przygnało?

– Przyjechaliśmy kupić dom.

Przyjrzeni się nam z uwagą.

– Dom?

– Powiedziano nam, że wysoko w wiosce są domy do sprzedania.

– Może i są. Ludzie się przenieśli, a domy zostały.

Podziękowaliśmy, pojechaliśmy dalej i poczuliśmy, że pozostawiliśmy naszych wybawców w wielkiej konsternacji. Oni będą sobie kupować dom?

Dalsza droga może i była dobra według ich kryteriów, lecz dla naszego renaulta stanowiła istny popis samochodowego alpinizmu. Błoto rzeczywiście się już skończyło, ale miejscami samochód wprost wspinał się po skałach!

Przejechaliśmy przez most, ogromnie wysoki, murowany, kamienny most. U jego podstawy szumiał rwisty potok. Potem wjechaliśmy w las, kolory, sosna, buk, leszczyna. A przed nami żadnej wioski, jeden zakręt, drugi, a wioski wciąż ani śladu. Nagle las jakby się rozchylił, góry zmieniły się na naszych oczach. Rozpostarł się przed nami rozległy widok majestatycznych szczytów, a na jednym ze zboczy ujrzeliśmy kamienne dachy domów. Z daleka wyglądało, jakby wieś się ukrywała; szara jak skały sprawiała wrażenie, że się do nich tuli. Brała początek gdzieś wysoko od kilku odosobnionych domów, potem rozlewała się szeroko i kończyła w dolinie rzeki. Tak jakby Bóg wziął w garść domy i rozsypał je po zboczu. A nad wszystkim górowała dzwonnica, biała i zdobiona. Zamilkliśmy, a samochód powoli i lekko zbliżał się do miejsca, które miało zmienić nasze życie, [Wzagać Dialogi i Co więcej wersja elektroniczna](#) zagarnąć tak wiele, ale i osłodzić radości i smutki. Moja żona wymówiła prorocze słowa. Zatrzymaliśmy się na początku wioski, ulica była pokryta starymi kocimi łbami. Żona spojrzała przez szybę, zobaczyła biały wykusz nad swoją głową i powiedziała:

– Nie ruszę się z tej wsi, dopóki nie kupisz tutaj domu.  
Zatarłem ręce z radości.

\*\*\*

Podstarzały nauczyciel smażył kilka frytek w patelni, którą trzymał na pomalowanej srebrzystym brązem kuchence. Trącał je widelcem i uśmiechał się do nas. Miał około siedemdziesiątki. Był krótko ostrzyżony, bardzo schludny i uprzejmy. Powiedziano nam: „Jak dotrzecie do wioski, całkowicie zdajcie się na nauczyciela. On wami pokieruje, udzieli wam pomocy”. Tak też zrobiliśmy. I oto ten właśnie

nauczyciel postanowił najpierw poczęstować nas frytkami. Wioska słynęła z ziemniaków, a frytki były moim ulubionym daniem. Niepokojące było tylko to, że nauczyciel smażył tylko po pięć-sześć frytek na raz, wykladał je powoli na małą stertę i znowu kładł kolejnych pięć-sześć frytek na patelnię. Policzywszy je, z przerażeniem doszedłem do wniosku, że jak dobrze pójdzie, do konsumpcji zabierzemy się przed zmrokiem. Wspomniałem między wierszami, że są ludzie, którzy smażą ziemniaki w większych naczyniach, np. w garnku, wlewają dużo oleju, czekają, aż się nagrzeję i wtedy wrzucają naraz dwie garści ziemniaków. Nauczyciel kurtuazyjnie zainteresował się proponowaną techniką i nadziewając wymykającą się frytkę na widelec, zapowiedział, że kiedyś ją przetestuje. Jestem znerwicowany od urodzenia, sam wymyślam problemy, które czasami przyprawiają mnie o ból głowy, sam też szybko o nich zapominam, ale jak sobie przypomnę frytki nauczyciela, to do tej pory ściska mnie w żołądku. Miałem wrażenie, że człowiek ten przez całe swoje życie nigdy się nie śpieszył. Mówił powoli, ładnym, czystym bułgarskim językiem. Od czterdziestu lat był nauczycielem, miał charakter pisma mistrza kaligrafii, w jego pokoju panował nieskazitelny porządek, chociaż sam pokój był krzywy, ze spadzistą podłogą, po której wszystko się turlało, tak że nawet olej na patelni spływał na jedną stronę, przez co mogło się na niej smażyć jeszcze mniej frytek. Powtórzyliśmy kilka razy, że nam się śpieszy, bo chcemy obejrzeć wieś, żeby wybrać ładny dom i go kupić, i wolelibyśmy, żeby dom miał żywego właściciela, który by w nim pozostał do końca swoich dni.

- Mamy tutaj takiego starca – powiedział nauczyciel.
- W takim razie zaprowadź nas do niego!

– Najpierw zjedzmy obiad. Potem was zaprowadzę.

Wtedy właśnie pojąłem, że nauczyciel odmiennie rozumie czasownik „śpieszyć się”. Wkrótce stało się dla nas oczywiste, że w stronach tych słowo to jest inaczej interpretowane. Istnieje po prostu pewien porządek, który niezależnie od wszelkich okoliczności musi być zachowany, niezależnie i od tego, ile czasu to zajmie, a potem... potem możesz się śpieszyć. Nauczyciel należał do ludzi, którzy wolno nabywają nowych umiejętności, ale z chwilą, gdy je już nabędą, nie potrafią w nich nic zmienić.

– Miałem przez pewien czas maszynę do pisania *Hermes baby* – powiedział nauczyciel.

Kiedy już się trochę zaprzyjaźniliśmy, spróbowałem go poprawić.

– Mówi się *Hermes bejbi*. Tak to się wymawia po angielsku. Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Stary nauczyciel spojrzał na mnie nieufnie.

– Ja się uczyłem francuskiego. Znaczy jak, *Hermes bejbi*?

– Tak. Dokładnie tak.

– *Bejbi, bejbi* – powtórzył zamyślony nauczyciel.

– Tak w ogóle, *bejbi* znaczy dziecko. Maszyna do pisania „dziecko”.

– Tak.

Za kilka miesięcy znowu mi oznajmił:

– Miałem przez pewien czas maszynę *Hermes baby*.

– *Bejbi!*

Skinął głową na znak zgody. A potem znowu powtarzał: „Miałem maszynę do pisania...”.

Był to raczej upór i tradycjonalizm niż skleroza. Przez pięćdziesiąt lat nauczyciel wiedział, że ma maszynę *Hermes*

*baby*. I nagle pojawia się jakiś sofjczyk, który namolnie próbuje mu narzucić swoje...

W końcu frytki się usmażyły i zostały zjedzone, nauczyciel przebrał się w jeszcze czystszej koszulę i jeszcze dokładniej wyprasowane spodnie i poszliśmy do wsi. Oczywiście najpierw chcieliśmy zobaczyć dom ze staruszką, przeszliśmy obok kilku walących się budynków, sterczących kamiennych murów, minęliśmy też parę budynków w niezłym stanie, przed nami uliczka wemknęła się pod jeden z domów, tworząc prawdziwy tunel, skręciliśmy przed nim w prawo i szliśmy po kocich łbach ku krańcowi wsi. Nauczyciel zatrzymał się przed dużą drewnianą bramą, wmurowaną w kamienny mur solidnego budynku. Z zewnątrz nie wyglądała zachęcająco. W bramie była zrobiona dziura, przez którą przeciągnięto brudny sznurek. Nasz przewodnik pociągnął za sznurek, po czym jedno skrzydło bramy się otworzyło, a my znaleźliśmy się na przestronnym, zadaszonym podwórku. Przed nim pokazał się ogród.

– Ej, baj Kiro – zawołał nauczyciel – jesteś w domu?

Usłyszeliśmy jakiś głos nad głowami.

– Jesteś na górze? Prowadzę do ciebie gości.

Odpowiedź była niezrozumiała, ale brzmiała potwierdzająco. Wspięliśmy się po drewnianych schodach, a mnie zatkąło. Wyszliśmy na ogromną, zadaszoną werandę. W jednym końcu werandy znajdowało się zabudowane palenisko, w pobliżu niego ogromny piec do chleba, a naprzeciwko pokoje. Do ściany przymocowana była po mistrzowsku wykonana drewniana ławka, a na niej siedział stary człowiek w naciągniętym na czoło kaszkiecie i z kilkudniowym zarostem. Podpierał się rękoma o laskę

i patrzył przed siebie. Jakby go nie interesowało, kim jesteście i skąd przybyliście.

– Witaj, baj Kiro, jak się miewasz?

– Dzień dobry, nauczycielu!

Baj Kiro nie wymawiał „r”!

– Ci ludzie są z Sofii, szukają domu do kupienia, ale woleliby taki, w którym zostanie jego właściciel, który opiekowałby się domem, a oni przyjeżdżaliby od czasu do czasu.

– Ano, dobrze, dobrze – powiedział baj Kiro.

Oglądałem ogromną werandę. Stanowiła właściwie centrum domu, a wszystkie pokoje do niej przylegały. Podłogę miała pokrytą ciosanymi deskami, a belki, które podtrzymywały dach, były długie na dziesięć metrów i biegły z jednego końca do drugiego. Jakież to drzewa musiały być ~~ściote, żeby wyciosać coś takiego~~, jak je tu przywlekli z lasu?! Nie byłem oczarowany, byłem wstrząśnięty i skonsternowany. Kto wie, ile pieniędzy zażąda dziadek Kiro za to чудо! Mogliśmy dać nie więcej niż czterysta lewów i tyle... A ta twierdza z drewna i kamienia tutaj...

– Jak się do ciebie zwracać? – zapytał nagle dziadek Kiro.

– Georgi, Goszo! – powiedziałem przymilnie.

– Słuchaj, Goszo, skoro postanowiłeś kupić dom w tej wsi, czy oglądałeś inne domy?

– Nie, jeszcze nie, najpierw przyszliśmy do ciebie.

– Tak nie można! – sposepniał staruszek. – Najpierw idź zobaczyć inne domy, które są do sprzedania, dopiero potem przyjdź tutaj, to sobie porozmawiamy.

Jeżeli baj Kiro rzeczywiście chciał sprzedać swój dom, to warunek ten nie był dla mnie zrozumiały. Ale nie było



wyjścia. Jego wola musiała zostać spełniona. Nauczyciel zaprowadził nas do wsi.

Kiedy człowiek dokona samodzielnego wyboru, trudno mu go wybić z głowy. Jest skłonny przypisywać nieistniejące zalety temu, co wybrał, i widzieć wady we wszystkim innym, co mu proponują. W tej wsi każdy dom różnił się od innych. Nie było tu obrzydliwej monotonii współczesnej miejskiej architektury, nie było identycznych domów, stawianych w dzisiejszych wsiach – niewykończonych, niepomalowanych, ogromnych i pustych. Różnorodność starej wsi wprawiała nas w zakłopotanie, sprawiała, że czuliśmy się bezradni, stawaliśmy oniemiała przed każdym budynkiem, ale ja do tej pory myślę, że dom baj Kira przyciągał czymś niepowtarzalnym, wyjątkowym. Jednak moja żona i syn naprawdę byli zakłopotani. Każdy dom był dla nich jak osierocone dziecko, które wyciąga ręce i mówi – weź mnie, nie zostawiaj mnie. Zatrzymywali się, wchodzili, rozglądali się, wpadali w zachwyt i szli za mną dalej. Mnie było spieszno, wiedziałem swoje. Na drewnianym progu przed dużą drewnianą bramą siedziała staruszka o siwych włosach i wciąż jeszcze roześmianej twarzy.

– Dokąd to idziecie, ludzie? – zapytała nas melodyjnym głosem.

– Macie tu bardzo ładną wieś, babciu – powiedziała szczerze moja żona.

Babcia przyjrzała się nam spod oka:

– Chyba nie przyjechaliście tu, żeby sobie z nas stroić żarty?

– Dlaczego mielibyśmy to robić?

– A co tu ładnego w tej zapadłej wsi?! Kiedyś to była ładna, kiedyś, a teraz nic się nie ostało, nic nie zostało, zniszczyli ją.

Nie próbowaliśmy jej przekonywać. Szliśmy dalej. I oto w pewnym domu z dwoma ślicznymi wykuszami, wiszącymi nad ulicą, z paleniskiem w kącie jednego pokoju, moja żona nieoczekiwanie się rozpląkała. Na darmo wyjaśniałem, że ten piękny dom nie ma podwórka, że jest niepokojąco nachylony do przodu, że będziemy potrzebowali dużo środków, żeby go wyremontować, że stara właścicielka mieszka daleko stąd, kto wie gdzie, a poza wszystkim jest podła. Nie pomagało. Wtedy stałem się nieugięty. Nie ma co się wygłupiać. Dom baj Kira jest najładniejszy w całej wsi i jeśli mamy coś kupić, to tylko ten dom, żaden inny. Na samym końcu wróciliśmy do naszego starca. Zastaliśmy go w tym samym miejscu i w tej samej pozie.

– Posłuchaj, baj Kiro, chodziliśmy, oglądaliśmy, podobało się nam wiele domów, ale twój spodobał się nam najbardziej. I tyle.

Baj Kiro spojrział na nas chytrze, prawie pieszczotliwie i powiedział:

– Wiesz dlaczego tak jest, Goszo? Ponieważ te domy, które oglądałeś, zostały postawione z konieczności, a ten był postawiony dla przyjemności.

Decyzja zapadła. Zostało do omówienia najważniejsze. Dramatycznie najważniejsze, więc spytałem z bijącym sercem:

– Teraz powiedz: ile chcesz za niego?

Czekałem w napięciu. Baj Kiro się zastanowił:

– Posłuchaj teraz, ja się nie będę targował...

– Dobrze, baj Kiro.

– Dasz mi tysiąc dwieście lewów!

Położył nacisk na słowo: „lewów”. W naturze nic nie chciał przyjąć. Zaszumiało mi w głowie. Powiedziałem pokornie:

– Dobrze, baj Kiro.

Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem dwieście lewów, liczonych i przeliczanych kto wie, ile razy, podałem je nauczycielowi i powiedziałem:

– To jest dwieście lewów zadatku. Proszę, niech pan je przeliczy!

Nauczyciel przeliczył je dokładnie i ostrożnie podał baj Kirowi. Baj Kiro spojrzał na niego groźnie, odepchnął jego rękę i powiedział:

– Nie chcę ich od ciebie, niech mi je poda ten człowiek!

Wziąłem pieniądze i podałem. Baj Kiro potarł nimi swój zarost i powiedział:

– Od dziś ten dom jest twój, ile byś mi nie dał, dom jest twój.

– Dziękuję, baj Kiro!

Popatrzyłem na moich bliskich. Żona była wzruszona, syn próbował pogodzić się z tym, że nie kupiliśmy innego domu, ale myślę, że też był zadowolony.

– W takim razie oblejmy to, zgodnie z porządkiem rzeczy – powiedziałem.

– Aa... machnął ręką baj Kiro. – Ja nie piję, Goszo.

– Jak to! Słyszałem, że...

– Nie wiem, co słyszałeś...

– Że lubiłeś sobie popić.

– Piłem, rzeczywiście piłem, ale teraz piję tylko lemoniadę... Słuchaj, co ci powiem, Goszo, jeżeli bym

zwymiotował to, co wypilem przez całe życie, zalałbym tym całą wieś.

Był to dosyć artystyczny obrazek, a ja przywiązywałem dużą wagę do danych liczbowych.

– W takim razie dobrze. Czy możesz mi powiedzieć mniej więcej, ile do tej pory wypiełeś?!

– Dlaczego mniej więcej?! Powiem ci dokładnie. Wypilem czternaście ton!

– Wina?

– A, nie. My tutaj wina nie pijemy. Rakii.

Czternaście ton rakii! Baj Kiro miał około siedemdziesięciu lat, dajmy na to, że pił pięćdziesiąt lat, pięćdziesiąt razy trzysta sześćdziesiąt pięć, równa się...

– Wychodzi na to, że wypijałeś z litr każdego dnia.

– Litr, a razem z zakąską nawet więcej.

Byłem skruszony. Znałem pewnego kapitała żeglugi dalekomorskiej, który twierdził, że raz, jak płynął swoim statkiem z Warny do Burgas, wypił pięćdziesięciolitrową beczkę wina. Z Warny do Burgas można płynąć pół dnia, można też tydzień, wszystko zależy od kapitała. Baj Kosta – drwal, u którego jako student pracowałem kilka miesięcy – wypił jednego wieczoru siedemnaście koniaków i wpadł do rynsztoka. Słyszałem i o innych jednorazowych wybrykach, ale czternaście ton baj Kira brzmiało jak epos.

Wciąż oszołomieni postanowiliśmy jeszcze raz obejrzeć dom. Na górze między belkami żona zauważyła starannie ułożone ciosane deski.

– Zobacz, jakie ładne deski! – zawołała.

– A, one nie są wliczone. Wszystko inne tak, ale one nie, bo ich potrzebuję.

Spojrzał na nas chytrze i dodał:

– Są na płaszczy! Rozumiecie?

Nie zrozumieliśmy od razu, ale potem sprzeciwiliśmy się:

– Czekał no, dokąd ci tak spieszo.

– O tam – powiedział baj Kiro i wskazał laską wzgórze widoczne za drewnianymi okiennicami werandy. – Pod sosny!

Zacząłem się wpatrywać.

– Tam jest cmentarz – wyjaśnił krótko nauczyciel. – Tutaj starzy ludzie wszystko sobie sami przygotowują, deski na trumnę... ubrania...

– Mój garnitur jest w małym pokoju! – wyjaśnił baj Kiro.

# Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel. (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks (0 22) 620 87 03

e-mail: [biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl](mailto:biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl)

[www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

## Serie Wydawnictwa Akademickiego DIALOG:

- Języki orientalne
- Języki Azji i Afryki
- Literatury orientalne
  - Skarby Orientu
  - Teatr Orientu
- Życie po japońsku
  - Sztuka Orientu
  - Dzieje Orientu
- Podróże – Kraje – Ludzie
  - Mądrość Orientu
- Współczesna Afryka i Azja
  - Vicus. Studia Agraria
  - Orientalia Polona
- Literatura okresu transformacji

- Literatura frankofońska
  - Być kobietą
  - Temat dnia
- Życie codzienne w...

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową